

1688

BIBLIOTECKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 86

58891 A.

4871

WACŁAW SZYMANOWSKI

352

LEW CANOVY SALVATOR ROSA

~~W Białymstoku
Biblioteczka i Czytelnia
1761
884-311.2~~

~~WARSZAWA
KURSY
M. W. R. I. O. P.~~



BIBLIOTEKA PUBLICZNA MIEJSKA
58891
W BIAŁYMSTOKU

M. W. R. I. O. P.
WARSZAWA
KURSY
M. W. R. I. O. P.
OPOCZNE
SEMINARIJÓW NAUCZYCIELSKICH

WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPOŁKA
1908



LEW CANOWY¹⁾.

W Possagno, w państwie Wenecjańskim, nieopodal od wspaniałego pałacu rodziny Falieri, w ciemnym zaułku mała bielila się chatka, a mieszkał w niej stary murarz Pasino.

Pewnego wieczora, znużony dzienną robotą Pasino, rzuciwszy się na tapczan, zasypiał snem smacznym i twardym, kiedy rozbudziło go nagle silne stukanie do drzwi. Wstał więc, poszedł otworzyć i przy niepewnym świetle księżyca spostrzegł przed sobą dziecko.

— Kto jesteś i czego żądasz? — rzekł Pasino głosem gniewnym człowieka, nagle ze snu zbudzonego.

— Jestem Antonjo — odpowiedziało trwożliwie dziecko.

Jaki Antonjo?

— Jakto, kochany dziaduniu, nie poznajecie mnie? Antonjo, twój wnuczek.

¹⁾ Antonio Canova, sławny rzeźbiarz, urodził się w roku 1747, umarł w roku 1822.

— To ty? A cóż ci się znowu stało? — rzekł murarz, zmieniając nagle ton mowy, a wzięwszy dziecko za rękę, przyciągnął je do siebie, usiłując pomimo ciemności, wyczytać w malej twarzyczce powód tych późnych odwiedzin.

— Ale mówże! Dlaczego odszedłeś od matki? Czy zasłała? Czy przeskrobałeś jej w czem? A może cię sama wypędziła z domu?

— Nie, dziaduniu, to ja samowolnie odszedłem.

— Ty! Ale z jakiego powodu? — pytał dalej starzec i wszedłszy do izby, począł krzesać ognia. Tak uciekać! Święta Marjo Rodzicielko! Jak można tak odchodzić od matki?

Wkrótce zapłonęła hubka, i Pasino zapaliwszy lampę, postawił ją przed dzieckiem, żeby mu się lepiej przypatrzyć. Wówczas dopiero spostrzegł, że chłopak ma lzy w oczach i dzwiga jakieś zawiniątko na kiju, przez ramię przełożonym.

— Nie mogłem pozostać dłużej w domu — rzekł Antonjo, rzucając zawiniątko na ziemię, — tam skończyło się już dla mnie, byłem w rodzinie jak obcy. Ten Wenecjanin to szkaradny człowiek! Gdybym miał chociaż z dziesięć lat więcej, byłbym go zabił; tak dziaduniu, byłbym go zabił z pewnością. Ale niestety! mam dopiero lat dwanaście.

— O! i wielka ci krzywda! — rzekł Pasino, śmiejąc się z tego dziecinnego gniewu wnuka. — Chciałbyś być już panem w domu.

— Ojciec mój, umierając, zostawił mnie tylko jedynaka; więc słuszna rzecz, żebyśmy byli głową rodziny i panem domu.

— Piękny mi dom! — rzekł starzec, coraz

więcej rozweselony tem rozjątrzeniem wnuczka; piękny mi dom! Cztery tyki, utkwione w ziemię, a połączone z sobą ścianami ze słomy, gliną oblepionej. Gdybyś posiadał przynajmniej taki pałac, jak Faljerowie... to nie mówię.

— Faljerowie! Faljerowie! — zawołał chłopak, potrząsając ciemnowłosą główką, można być bogatym, jak oni, i nie mieć wcale serca.

— Słuchajno, Antonjo, może zjesz co?

— Nie, nie mam wcale apetytu.

— A jednakże przyszedłeś od matki do mnie piechotą, a to kawał drogi?

— E! co to za kawał... zaledwie małe dwie milki.

— No, to rozpowiedz mi, jak się to stało.

— A to widzisz, dziaduniu, wiesz przecie o tem, że mama poszła drugi raz za męża za tego szkaradnika Paesillo, a największem dla mnie zmartwieniem było, że już jej nie nazywano pani Canova! A jednak pani Canova... to piękne nazwisko... nieprawdaż dziaduniu?

— Tak... tak... mów dalej.

— A przytem ja się tak nazywam... a to jakoś nie uchodzi, żeby syn miał inne nazwisko, a matka inne.

— Ale kończże, bo zasnę naprawdę i nie dosłucham twojego opowiadania — rzekł starzec, kładąc się do łóżka.

— To też jak tylko ten Paesillo postawił nogę w naszym domu, zaraz wszystko się zmieniło do niepoznania. Zaczęto już mniej dbać o mnie, przy obiedzie nie dostawały mi się jak dawniej

najlepsze kawalki, które tak lubiłem, wszystko to było dla pana Paesilla. Gniewałem się, ale nikt nie zważał na to, nikt się nie spytał nawet, dlaczego siedzę zaperzony w kącie, dlaczego nie przychodzę na obiad albo na wieczerzę. Ani słówka! Nie przychodzisz na obiad... to nie jedz; nie chcesz wieczerzać z nami... jak ci się podoba. A więc ja nie namyślając się długo, powiedziałem sobie: mam przecie dziadunia, który mieszka na odosobnieniu i kocha mnie, bo kiedy przyjdę czasem do niego, to mi pozwala robić, co mi się podoba; pójdę sobie do niego, a tam mi będzie lepiej niż tu... Wszakże nie śpisz jeszcze, dziaduniu, wszakże słyszysz, co mówię?

— Tak, najlepiej. Połóż się teraz na tej świeżej słomie, a kiedy ci idzie o to, żebyś sam sobie był panem, to cię nauczę rzemiosła murarskiego, które ci chleb zapewni.

— E, nie chcę być murarzem — odpowiedział, krzywiąc się, Antonio, to nudne rzemiosło!

— Bo się na niem nie znasz, ale jak spróbujesz, to zobaczysz.

— Tak, piękna mi zabawa, stawiać na jednym kamieniu drugi, a na tym trzeci i tak dalej.

— Wybredniś z ciebie, wolałbyś widzieć mieć do czynienia z marmurem, aniżeli z prostymi kamieniami?

— Naturalnie, że wolałbym, bo to i piękniejsze i szlachetniejsze.

— No, no, idź spać, bo ja sam już padam ze snu.

Nazajutrz Pasino rozbudził z samego rana

Antonja, i obaj odmówiwszy modlitwę i spożywszy skromny posiłek, udali się w drogę do pałacu Faljeri, gdzie starzec pracował nad naprawą muru, który złodzieje, usiłując się nocną porą dostać na podwórko, znacznie byli uszkodzili.

Ale napróżno Pasino starał się wyuczyć wnuka swojego rzemiosła, pokazując mu starannie, co, gdzie i jak trzeba użyć. Jak tylko starzec, zajęty w innym miejscu, zostawił go samego na chwilę, wnet psotny chłopak, nie myśląc już o naprawie muru, wykuwał jaką figurkę z kamienia albo klecił maskę z gliny. A ponieważ był wątpły i delikatny, dziadek nie umiał się na niego gniewać, bo kiedy się zabierał do zmycia mu głowy za próżniactwo, Antonjo wnet mu odpowiadał:

— Ale widzisz przecież, dziaduniu, że jestem zmęczony strasznie.

— A jednak coś tam dłubiesz.

— To Najświętsza Panna z Dzieciątkiem Jezus.

A chociaż to była dość niezgrabna jeszcze i niekształtna robota, dziadek przepadający za wnukiem, wynosił ją pod niebiosa, twierdząc, że Antonjo wyjdzie kiedyś na bardzo znakomitego murarza, i że będzie budował pałace dla najbogatszych rodzin włoskich.

I zdarzyło się, że pewnego dnia ksiązę Faljeri wydawał u siebie wielką ucztę. Trzeba też było widzieć, ile tam rondli skwierczało na ogniu, ile różnów uginało się pod ciężarem bażantów, indyków, kaczek, kurcząt, nawleczonych długim rzędem jedno za drugim. A ciastek, cukierków, konfitur, słodyczy różnych, to już tyle, że przez cały dzień

byłoby się czemu przypatrywać. Więc Antonjo odbiegłszy od roboty, wcisnął się pomiędzy kucharczyków, posługaczy i pomywaczki i na widok tych wszystkich przysmaków ślinka szła mu do ust, a oczy z pożądliwości aż na wierzch prawie wychodziły.

I nadeszła wreszcie chwila zastawiania stołów. Ale kiedy już się zabierano do tej roboty, naczelny kuchmistrz uderzył się z rozpaczą w czoło i zawołał:

— A do licha, zgubiony człowiek ze mnie! Już nie będę śmiał oczu na świat podnieść i chyba sam sobie śmierć zadam! Nieszczęśliwy Pietro, tegoż się na starość doczekał? Zglupiałeś, braciszku, zrobiłeś się niezgrabiaszem, partaczem, niedołęgą, zadałeś hańbę własnemu honorowi, a co gorsza, honorowi rodziny książęcej.

I w chwili kiedy naczelny kuchmistrz wygłaszał ten żaloszny monolog, sam książę, przechodząc przez sąsiedni salon, usłyszał jego wyrzekania i otworzył drzwi do pokoju kredensowego, żeby się dowiedzieć, o co rzecz chodzi.

A otworzył je w chwili, kiedy nieszczęśliwy Pietro, siedząc rozpaczliwie na krześle z głową wtył przechyloną, dopijał ostatniego łyka ze sporego kubka araku, który mu przyniósł był kuchcik, stojący jeszcze przy nim z białą bawełnianą czapką w ręku.

— Co się stało? — zapytał książę, uśmiechając się z tego dziwnego sposobu wyrażania rozpaczy.

— A jasnie oświecony panie! bij, zabij mnie! —

zawołał Pietro, który, zobaczywszy księcia, tak śpiesznie usiłował przelknąć resztę araku, pozostała jeszcze w kubku, że się zaksztusił najokropniej i żadnym już sposobem nie mógł dojść do słowa.

Książę spojrzął po całej służbie kuchennej, znajdującej się tam w tej chwili, ale nikt nie mógł mu wytłumaczyć znaczenia tej zagadki, bo i do prawdy nikt nie wiedział, jakiego straszne nieszczęście naczelnego kuchmistrza dotknęło.

Skoro jednak niewczesny kaszel tego ostatniego uspokoił się trochę, książę zapytał znowu:

— Czy wytłumaczysz mi nareszcie, mości Pietro, jakim sposobem niedołęstwo twoje, jak sam utrzymujesz, ma przynieść hańbę twojemu, a co gorsza naszej rodziny honorowi?

— Dlatego, że obiad dzisiejszy, obiad świetny, wystawny, znakomity, na którym sam doża, a nawet papież, mogliby się bez żadnej ujmy dla swojej godności znajdować, ten obiad, na który wysiliłem całą moją fantazję i umiejętność, zostaje zniweczony, zbezczeszczone, zatruty, zabity, przez jedno głupie zapomnienie, za które sam powinienbym ukarać się szubienicą, gdybym miał stryczek... i resztę pod ręką.

— Jakież to zapomnienie?

— Zastawa pierwsza jest przecudowna, jasnie oświecony panie. Mięsa, ryby, sosy, pieczone nie zostawiają do życzenia. Wszystkie zastawy i przybory harmonizują z sobą najwyborniej, i mogę śmiało oddać sobie sprawiedliwość, że tym razem, jak zawsze, złożyłem dowody wielkiej nauki

gastronomicznej i znamienicie wykształconego gustu. Aleć deser!... deser!...

— No i cóż deser?

— Niestety, brak środkowego półmiska, który powinienby być najozdobniejszy ze wszystkich.

— Także mi wielkie nieszczęście! kiedy brak, to przecież można dorobić — mrucał przez zęby Antonjo, na którego nikt w tej chwili nie zwracał uwagi.

— A czy nie dałoby się go czem zastąpić? — rzekł książę.

— Bardzo trudno, a raczej niepodobna, jaśnie oświecony panie.

— No... to zrób piramidę... z cukru... konfitur...

— A toż właśnie w tem trudność, żeby to coś wymyślić, a nie mamy nawet godziny czasu, bo goście zaraz się zaczyną zjeżdżać.

— Ot, dopiero niedołęga! — mruknął znowu Antonjo, — niby to rzecz tak trudna wymyślić cośkolwiek...

— I gdyby cała zastawa obiadu nie była w tak pięknym i poprawnym stylu — mówił dalej zrozpaczony Pietro, możnaby dopasować coś jeszcze... ale tak to jedno zepsułoby drugie.

— Wszakże mówileś — rzekł książę, że idzie tu głównie o ułożenie jakiego planu... No, w takim razie słuchaj, około muru pałacowego pracuje w tej chwili Pasino, który chociaż tylko majster murarski, zna się jednak na architekturze i mógłby nam coś poradzić...

— A oto tego wnuczek, jaśnie oświecony panie! — odezwał się jeden z kucharzy.

— No, to dobrze, chłopcze, pobiegnij po dziadka i przyprowadź go do pałacu, bo nam go tu pilnie potrzeba!

Antonjo, śmiejąc się ukradkiem, wybiegł szybko i wkrótce powrócił, ciągnąc za sobą dziadka, którego trzymał za poję skórzanego fartucha. Ale skoro wytłumaczono murarzowi, o co rzecz chodzi, stary potrząsnął głową i kręcąc w stwardniałych od pracy rękach bawelnianą czapkę, którą zdjął był przez uszanowanie przed księciem, rzekł:

— Gdyby to jeszcze chodziło, jaśnie oświecony panie, o wyrobienie jakiej ozdoby murarskiej, lub nawet w najgorszym razie wyrzeźbienie kapiotelu, to jeszcze mógłbym... ale...

— Ale tu idzie o zastawę, o piękną zastawę deserową, dziaduniu — wrzeszczał Antonjo do ucha starcowi, jak gdyby ten ostatni był głuchy.

— Wiem... wiem... o co chodzi — mówił Pasino, coraz bardziej zakłopotany, ale cóż ja na to poradzę?

— Jakto, dziaduniu, ty co budujesz pałace, nie umiałbyś wysztyftować zastawy, prostej zastawy stołowej?

— Cicho bądź, chłopcze, i nie odzywaj się tak głośno przed księciem jegomością.

Ale Antonjo rozgniewany tem napomnieniem, tupnął nogą i odwróciwszy się, zawołał półgłosem:

— To całe nieszczęście, że posłuchać mnie nie chcą.

Przez ten czas książę przypatrywał się dowcipnej fizjognomji wnuczka murarza i uderzył go dziwny wyraz, który się na niej w tej chwili ma-

lował. Widać bowiem tam było pogardę, jaką wzniecała w chłopcu ta cała rozprawa nad głupią drobnostką, a na czole jego jaśniała tak niezwykajna pewność siebie, i tak zdawał się przekonany, że potrafi wszystkiemu zaradzić, iż książę nie mógł się oprzeć chęćce zapytania go o zdanie.

— Więc jakąż radę udzieliłbyś, smyku jeden, gdyby chciano cię posłuchać? — rzekł, biorąc dwoma palcami Antonia za ucho i ściskając je lekko.

— Jaśnie oświecony panie — rzekł, chłopak zarumieniony jak wiśnia, — gdyby tylko pan Pietro chciał mi dać spory kawał maślanego ciasta, to jabym już wszystko ułatwił.

— Niech jaśnie oświecony pan nie zważa na tego smarkacza — odezwał się Pasino, usiłując napróżno nakazać gestami milczenie wnukowi, — to strasznie jeszcze głupie i niedowarzone.

— Owszem, zważam i bardzo zważam — rzekł książę, uśmiechając się, i pragnę właśnie, żeby Pietro uczynił to, czego ten malec sobie życzy... Więcej nawet powiem, chcę, żeby to było niespodzianką dla mnie, jak i dla gości moich... Zważ więc, Antonjo, że ci daję wszelaką wolność, ale jeżeli ci się nie uda?... powiedz, co będzie w takim razie?

— Pozwolę sobie obciąć to ucho, które wasza książęca mość i tak już naderwałeś trochę — odpowiedział, śmiejąc się Antonjo.

— Zgoda — odrzekł książę.

I wyszedł z izby kredensowej.

Obiad był rzeczywiście przepyszny, rodzina bowiem Faljerów należała do najmajętniejszych we Włoszech i słynęła bardzo z wykwintnych

przyjęć; kiedy jednak nadeszła chwila zastawienia desern, książę ubawił gości opowiadaniem o zapomnieniu naczelnego kuchmistrza i wystąpieniu wnuczka murarza, który z taką ufnością wierzył w swój genjusz twórczy pod względem urządzenia ciasta maślanego.

I zaczęto zastawiać jedną po drugiej potrawy deserowe, a za każdym nowo przynoszonym półmiskiem oczy zgromadzonych czekały z ciekawością tego zapowiedzianego arcydzieła terminatora murarskiego. I jak gdyby z umysłu wszystkie krawędzie stołu już były suto zastawione, a tyle wyczekiwany środkowy półmisek nie ukazywał się jeszcze. Niecierpliwność obecnych wzrastała ciągle.

Nareszcie ukazał się sam starszy kuchmistrz, niosąc ostrożnie wielką jakąś zastawę, pokrytą białym obrusem. Zastawę tę umieszczono przed księciem, zdjęto obrus, i okrzyk podziwu rozległ się ze wszystkich ust.

Był to lew, wyrobiony z ciasta maślanego, a wybornie umodelowany.

— Bravo! bravo! — zawołano ze wszystkich stron, gdzie jest twórca tej zastawy, gdzie ten mały murarczyk?

— Gdzie ten artysta? — wołał książę, którego głos zagłuszył wszystkie inne.

I wówczas z poza otylego Pietra ukazał się uszczęśliwiony dzieciak.

Twarz miał zarumienioną z wielkiego wstydu, ale zarazem i wielkiej radości, a w oczach jego skrzył się dziwny zapal.

Książę był znakomitym znawcą i lubownikiem sztuki, odgadnął też odrazu w tem arcydziele dziecka zarody pierwszorzędnego talentu. Więc skłoniwszy dziadka, żeby mu Antonja odstąpił na wychowanie, posłał go do Wenecji, najznakomitszym tamecznym mistrzom powierzając kształcenie go w sztuce. Po czterech latach nauki młody wychowaniec księcia pojechał do Rzymu, opatrzony na drogę licznymi listami rekomendacyjnymi.

Powodując się dobrem natchnieniem, Antonio przybywszy do Rzymu, odwiedził przed innymi signora Volputo, którego pragnął usilnie zostać uczniem.

Trzeba wam wiedzieć, młodzi moi przyjaciele, że Volputo słynął pod owe czasy jako znamienity nauczyciel sztycharstwa, i z jego to szkoły wyszli najślynniejsi mistrze w tym rodzaju.

Lecz wkrótce Antonjo Canova porzucił rylec dla dłuta rzeźbiarskiego, na tem bowiem polu świetniejsza daleko czekała go przyszłość.

W r. 1782 poseł wenecki Zuljano, wydawszy obiad, na którym zgromadzone były wszystkie rzymskie znamienitości rodu, sztuki i majątku, kiedy wstano od stołu, zaprosił swoich gości do sąsiedniej sali, aby ukazać im nową grupę marmurową, wykonaną przez artystę, którego nazwiska nie chciał jeszcze wymienić.

Grupa przedstawiała Tezeusza jako zwycięzcę Minotaura, i jednogłośnie wyrzeczono o niej, że to jedno z najznakomitszych arcydzieł, jakie Rzym kiedykolwiek posiadał.

— Panowie! — rzekł wówczas Zuljano z wyrazem radosnego zadowolenia, ten artysta jest moim współziomkiem. Mistrzu Antonjo Canova, mówił dalej, wyprowadzając za rękę z tłumu młodzieńca, który się skromnie trzymał na uboczu, pójdź przyjąć powinszowania i hołdy, na jakie zasłużyłeś.

Canova zasłynął jako najznakomitszy rzeźbiarz czasów nowożytnych. Kiedy jednak kto przychodził zwiedzić jego pracownię, lubił on opowiadać początki swojego zawodu, nie zapominając o wdzięczności, którą był winien signorowi Volputo.

Papież kazał zapisać nazwisko Canovy w księdze złotej kapitolijskiej i nadał mu tytuł margrabiego d'Ischia.

Magdalena pokutująca jest jednym z najbardziej zachwalanych arcydzieł tego mistrza; są one zresztą tak liczne, że trudno by je było wymienić po szczególe. Canova bowiem wykonał sto siedemdziesiąt sześć różnych rzeźb i posągów. Pod genjalnem jego dotknięciem marmur miękł i zdawał się życia nabierać, i słusznie powiedzieli o nim spółcześni: że »Canova maluje na marmurze«.

A wiedzcie przytem, młodzi moi przyjaciele, że Canova jako człowiek odpowiadał w zupełności rozgłosowi, jaki sobie jako artysta uzyskać potrafił. Nie znał on bowiem ani zawiści, ani zazdrości, był bardzo skromnym, bezinteresownym, a dobroczynność jego zjednała mu miano ojca ubogich.

SALVATOR ROSA¹⁾.

— Donna Giulja, czy Salvatorjello wrócił już — pytał się signor Antonjo Rosa, stanąwszy na progu swojej *casaccia*, zbudowanej na wzgórku Arenella, w bliskości Neapolu.

Trzeba wam wiedzieć, kochane dzieci, że w Neapolitańskim istnieje mnóstwo domów na wpół rozwalonych, zamieszkałych dawniej przez wielkich panów, książąt, i całe roje sług, a dzisiaj w pośród nagich i rozpadających się murów, mieszczących zaledwie parę izb jako tako zachowanych, gdzie zamieszkują całe rodziny robotników. Domy takie zwą się *casaccia*. Główne do nich wejście stanowi zwykle perystyl²⁾, zdobny najcudniejszą zielonością i kwieciem, z którego szeroki widok na całą okolicę się odkrywa. Rozkoszne to miejsce zwane *loggia*, staje się schronieniem całej ro-

¹⁾ *Salvator Rosa*, znakomity malarz włoski, przytem utalentowany poeta, urodził się w Arenella w roku 1635. Umarł w Rzymie w roku 1673. Obrazy jego odznaczają się wielką śmiałością pędzla.

²⁾ Przedsiónek.

dziny, kiedy już z zapadnięciem mroku upał dzienny traci na sile.

Tego dnia pani Giulja siedziała w swojej *loggia*, pomiędzy dwiema córkami Stellą i Pernetą, zajętemi robieniem siatki. Było to w sierpniu 1645 r. Zdaleka słyszeć się dawały śpiewy i wesołe rozmowy żniwiarzy, schodzących z pola. Obie dziewczęta milczały, a ważny chyba powód musiał je zngałać do milczenia, bo Pernetta, najweselsza z Neapolitanek, ocierała ukradkiem łzę, spływającą z wolna po rumianych jej i świeżych, jak jagody leśne, policzkach.

Widząc wchodzącego ojca, wszystkie trzy kobiety podniosły głowy, ale jedna tylko matka odpowiedziała z westchnieniem:

— Nie, mój przyjacielu, syn nasz jeszcze nie wrócił.

I zabrała się znowu do przerwanej roboty.

— A *per Bacco!* co to ma znaczyć! wszakże to pierwszy raz ten dzieciak tak długo pozostaje za domem — rzekł signor Antonjo, rzucając na ziemię worek, napelniony narzędziami mierzniczymi.

I brwi zsunąwszy gniewnie, zasiadł na ławce kamiennej, stojącej przed domem, a założywszy ręce, począł gwizdać jakąś barkarolę¹⁾, co dla znających go wyraźną było oznaką, że w bardzo niedobrym był humorze, i że małemu Salvatorjellowi za powrotem do domu łatwo się co może oberwać.

¹⁾ Piosenka.



— Wszakże jak wyszedł od wczoraj z rana, nie wrócił jeszcze dotąd; nieprawdaż donno Giuljo?... Powiedz mi donno Giuljo, czemu nie odpowiadasz, kiedy mówię do ciebie?... A ty Stello, Pernetto, czyście się u licha przemieniły w jakie posągi?

— Na miłość boską Antonjo, poco tyle hałasu — rzekła donna Giulja — wszakże mówiłam ci już, że Salvatorjello od wczoraj z rana nie wrócił jeszcze.

— A to uparte i nieposłuszne dziecko! — zawołał Antonjo — prawdziwie chciałbym, żeby na ukaranie za swoje nieposłuszeństwo wpadł gdzie do studni... albo...

— To byłaby gorsza kara dla nas, niż dla niego — rzekła donna Giulja, porzucając wrzeciono, a biorąc w rękę różaniec, który wisiał u jej pasa.

— Może to i prawda — rzekł stary Rosa — ale gdzież u licha podział się ten smarkacz przebrzydły?

— Kto może wiedzieć! — odezwały się razem trzy kobiety.

I jak gdyby ożywione jedną myślą, wszystkie trzy zwróciły spojrzenia na pole, rozciągające się przed nimi. Niespokojne te spojrzenia błędziły na traf tu i owdzie. A piękny i rozległy stamtąd rozpościerał się widok: zachodzące słońce złościło okoliczne wzgórza, zdala zieleniały wysepki Nizitria, Caprea, i Procida, dalej jeszcze morze, odbijające to przecudne niebo włoskie, którego błękitu żadna chmurka nie ćmiła.

Ale już oddawna żniwiarze zeszli byli z pola, a z wyjątkiem ptaków, szybujących w powietrzu, na całej tej przestrzeni nie było widać żywego ducha.

Nastała znowu chwila milczenia, donna Giulja przędła i modliła się, dziewczęta także pilnie pracowały, a Antonjo Rosa spoglądał na nie, gwiżdżąc przez zęby. I nagle nie mogąc już powściągnąć swojej niecierpliwości, zbliżył się do żony i powtórnie zagadnął ją w ten sposób:

— Przyznaję ci donna Giuljo, iż rzadko która kobieta potrafi tak jak ty obejść się z wrzecionem; jesteś prawdziwym wzorem gospodyń, ale nie zajmujesz się tyle, ileby należało, naszym jedynakiem, który wyszedł jeszcze wczoraj z rana, a ty sama nie wiesz, gdzie się podział. Wszakże przypominasz sobie, że kiedy był niemowlęciem u piersi, siedzieliśmy razem przed domem i rozmawialiśmy o jego przyszłości. Bóg nam dał syna — rzekłem do siebie — wartoby pomyśleć, na co go będziemy kierować.

— A ja odpowiedziałam ci: Stanie się wedle woli Boga i Najświętszej Panny Marji.

— Tak, ale już wówczas dodałem, że za nic w świecie nie chciałbym, ażeby mój syn został malarzem albo artystą jakim.

— I postanowiliśmy poświęcić go kościołowi.

— I wynaleźliśmy dlań szczęśliwe imię.

— Tak, Salvator, to imię dobrej wróżby.

— Może poszedł uczyć się lekcji matematyki, do której go tak koniecznie zglasz.

— A ja myślę, że raczej błąka się gdzie

w okolicy, bo to wielki leniuch i włóczęga — odpowiedział Rosa. — Najwięcej mu się podoba w pośród skał, w jaskiniach, na gruzach starych świątyni. Słowem, to utrapione dziecko wszędzie spotkać można, oprócz domu.

— Ale — rzekła Stella, przerywając robotę — Salvatorjello poszedł może do wuja Paula.

— I skądżeby znów — rzekł ojciec. — Powracając z Neapolu, przechodziłem tamtędy i pytałem Paula, czy nie widział tego smarkacza, a on mi odpowiedział, że nie. I w istocie, cóżby on u niego robił?

— Przypatruje się pewno, jak brat maluje obrazy, bo wiesz przecie Rosa, jakie Salvatorjello ma usposobienie do malarstwa — rzekła Giulia.

— Tak, wiem to, ale niestety wiem także, że z tem całym malarstwem można bezpiecznie umrzeć z głodu, czego dowodem brat twój, Paulo Grecca, który chociaż przez cały dzień pracuje nad obrazami, nie ma często co włożyć do ust.

— To może wina mojego brata.

— Albo raczej malarstwa. Te wszystkie ich talenta, i ta cała chwała, o której tak dużo bają, to funta kłaków nie warte.

— Tak, rzeczywiście, jeżeli kto nie ma talentu...

— Mamo! mamó! — zawołała Pernetta — spojrzno mama...

I dziewczyna wskazywała palcem na jakiś oddalony przedmiot, a wszystkie spojrzenia zwróciły się w tę stronę. I nagle w skalistym wąwozie, prowadzącym do cudnego klasztoru Borgo Renella, w pośród wysokich sosen, w szczelinach skał wy-

rastających, ukazało się dziecko, prowadzone za rękę przez jakiegoś mnicha. Podchodzą bliżej... Drugi wykrzyk Pernetty dowodzi, że nie musiała się omylić, był to bowiem *Padre Cercatore* z klasztoru Arenella, odprowadzający Salvatorjella do domu.

— Gdzieżes to chodził, włóczęgo jakiś! — zawołał Antonjo Rosa, spostrzegłszy syna.

— Niech ojciec raczy usiąść — rzekła donna Giulia, całując mnicha w ramię — może ojciec zechce posilić się czemkolwiek?

Obie dziewczęta poskoczyły do Salvatorjella, który smutny, niespokojny, zawstydzony, stał ze spuszczoną głową, a gęste pukle ciemnych włosów jego, spadając na czoło, twarz mu zakrywały.

— Oto wasz chłopak, donno Giuljo — rzekł *Padre Cercatore*, nie przyjmując stołka, który Rosa mu podsuwał. — Jeden z braci klasztornych wracając z kwesty, znalazł go uspiętego w gałęziach zeschłego drzewa, z głową opartą na kawałku lawy. Odprowadzam go wam i sądzę, że zasługuje na ukaranie za niepokój, jakiego dla was stał się powodem... Dziękuję ci, signor Rosa, ale niepodobna mi pozostać z wami dłużej, muszę powrócić do klasztoru. Jutro z rana zobaczymy się Salvatorjello, czy słyszysz? jutro z rana, a radzę, żebyś się nie spóźnił na lekcję katechizmu, bo może być źle z nami. Do widzenia, signoriny.

To powiedziawszy, *Padre Cercatore* zrobił nad wszystkimi znak krzyża świętego i udał się napowrót w drogę do klasztoru.

— A teraz z nami rozprawa Salvatorjello — rzekł signor Rosa, zbliżając się do syna.

— Przebacz mu, ojcze! — zawołały obie siostry, wyciągając ku ojcu błagalne ręce. — On biedny zabłądził i nie mógł trafić do domu, powiedział nam to w tej chwili do ucha. Ojcze, kochany ojcze, już on się poprawi, już mu się to nie zdarzy!

— Cicho, gąskil! — zawołał Antonjo — niech tylko zakrzywię palcem na waszego braciszka, to już zaraz wrzask! *Per Bacco*, trzebaż przecie, żeby smarkacz poczuł raz, iż nie można tak sobie barszkować, jak za dobrych czasów... dość już dziś z rana namartwiłem się o tego latawca, i matka także... a ty Pernetto, wszakże sama płakałaś i teraz jeszcze masz łzy w oczach!

— Płakałaś, Pernetto! — zawołał Salvatorjello, rzucając się na szyję siostry — o! wybac mi, wybac, żem cię nabawił niespokojności.

— A ja, smarkaczu? a twoja matka? czy myślisz, że to nas także nie obeszło?

— Więc wybaczcie mi wszyscy — zawołało dziecko, składając ręce — nie gniewajcie się już na mnie, ale doprawdy to wina tych cudownych okolic, a im dalej szedłem, tem piękniejsze się oczom moim przedstawiały widoki! I cóż ci powiem ojcze? Szedłem, szedłem ciągle przed siebie, myśląc w duchu: jeszcze tylko obejrzę ten wąwóz, to drzewo na urwisku, te skały, mchem obrosłe! A tu las! Ciekawa rzecz co może być za tym lasem! I tak podążając ciągle dalej, zabłąkałem się nareszcie, sen zmorzył mnie, i wierząc mi, że byłem bardzo zdumiony obudziwszy się z rana i nie wiedząc, gdzie jestem.

— A czy przynajmniej nauczyłeś się zadanej ci lekcji matematyki? — zapytał ojciec.

— Zapomniałem już jej — rzekł Salvatorjello, spuszczać oczy.

— Za to też, mój synu, zasługujesz na karę i będziesz ukarany — rzekła donna Giulia. — Aż do niedzieli pozostaniesz zamknięty o chlebie i o wodzie w górnej izbie, a tam może pomyślisz przecie o nauce. No, a teraz idź na górę bez żadnych dalszych korowodów. Stello, pójdź za bratem, zamkniesz go i przyniesiesz tu klucz.

— Stello — rzekł Salvatorjello pocichu — weźno tam z sobą kilka kawałków węgla.

— Ale dajże pokój, Salvatorjello, ty więcej zużyjesz węgla do bazgrania po ścianach, niż matka do palenia w kuchni.

— Cicho, Stello, i zrób, jak mówię — odpowiedziało dziecko.

I wkrótce biedny Salvatorjello siedział zamknięty w wielkiej izbie, o nagich i z gruba tylko pobielonych ścianach, gdzie za cały sprzęt leżał w kącie siennik, słomą napchany...

W następną niedzielę donna Giulia postanowiła sama oznajmić dziecku przebaczenie, które odrazu była gotowa udzielić. Więc w towarzystwie córek udała się do pokoju, przeznaczonego na więzienie chłopca.

Ale otworzywszy drzwi, zdziwiona i zgorziona stanęła na progu.

Salvatorjello zasypiał najspokojniej na sienniku, nie on więc był powodem zadziwienia trzech kobiet. Wrażenie to sprawił widok ścian izby, przy-

branych w nowy rodzaj obicia, od dwóch dni za-
improvizowanego.

I rzeczywiście ściany te wszędzie, gdzie tylko
dosięgnąć mogła ręka dziesięcioletniego dziecka,
pokryte były jakąś czarną bazgraniną, w której
zrazu trudno było cobyż odróżnić, ale przypa-
trując się uważniej, matka i siostry zaczęły roz-
poznawać najprzód Wezuwjusz, z którego tryskały
płomienie, z morzem u stóp jego płynącym i Nea-
połem widniejącym w dali, a następnie przecudne
miasteczko Baje, malowniczo lasami i górami oto-
czone. Na drugiej zaś ścianie widać było urocze
wzgórze świętego Marcina i złocone skały, ponad
którymi górował pyszny klasztor Certosa, prze-
blyskujący w pośród gęstego wieńca kasztanów
i topoli. Słowem, ze wszystkich stron widoki oko-
lic, gór, miast, gmachów.

— A Najświętsza Panno! — zawołała donna
Giulja, kiedy już zdziwienie przestało krępować
jej język — coś ty tu porobił, chłopcze?

A zachwycone dziewczęta wołały:

— To cuda! prawdziwe cuda!

— Na nic wszystkie nasze starania i trudy —
mówiła donna Giulja, potrząsając głową — to dziec-
ko, widzę, koniecznie chce być artystą.

— Alboż to nie pięknie być artystą — rzekła
Stella do ucha siostrze.

— Salvatorjello! — zawołała donna Giulja, na-
chyliwszy się nad śpiącym synem i poruszając go
za rękę — czas wstać, w kościele dzwoniło już
na Anioł Pański.

Na pierwsze wyrazy matki chłopak powstał
i przecierając sobie oczy ze zdziwioną miną:

— Więc się nie gniewasz już na mnie, mat-
ko? — rzekł, składając ręce — powiedz, czy już
się nie gniewasz na mnie?

— Nie, kochane dziecię — odrzekła matka,
całując go w czoło — nie, bo już dość zostałeś
ukarany: musiałeś się tu okropnie wynudzić.

— Ja! — zawołał dobrodusznie Salvatorjello —
ale gdzie tam, bawiłem się jak najdoskonalej.

— Może która z was otworzyła mu drzwi? —
rzekła donna Giulja, usiłując przybrać surowy wy-
raz twarzy — powiedzno Stello, czyś nie zapo-
mniała we drzwiach klucza?

— Mogła go najśmiej zapomnieć i nawet
drzwi zostawić zupełnie otworem, a przysięgam ci,
matko, że nigdy nie przyszłoby mi na myśl wy-
dalić się stąd. Bo spojrz tylko na te widoki, na
ten pejzaż, czy nie zdaje ci się, że masz przed
sobą prawdziwy wybuch wulkanu? bo ja widzę to
wszystko najdoskonalej: spodem płomień i lawa,
a w górze popioły. A ten lasek kasztanowy, jaka
w nim orzeźwiająca świeżość: chciałbym tam
być w tej chwili. Wierzaj mi, mamó, że kiedy
mam trochę węgla pod ręką, to trudno mi się
znudzić.

— Jakto? więc ty to wszystko węglem nary-
sowałeś? — zawołała matka.

— A jakżebym mógł inaczej wykonać te
wszystkie rysunki; przecież nie miałem pod ręką,
jak wuj Grecca, ani pendzla, ani farb, ani nawet
mizernego ołówka. Jaki on szczęśliwy!

— O! rzeczywiście jest czego zazdrościć — rzekła donna Giulja — biedny mój brat strasznie ma dochody z tego swojego malowania!

— A i niema się czemu dziwić, proszę mamy, bo on nie umie uchwycić żadnego podobieństwa tych wszystkich rzeczy, co maluje.

— A skąd wiesz o tem, mały paplo?

— Czy to ja nie mam oczu? Przecież ostatnio malował las jakiś, a wszystkie drzewa były niebieskie... jak zaś namaluje wodę, to z pewnością czółnoby się na niej nie utrzymało. O! gdybym ja tylko wziął się do tego, zobaczyłaby mama!...

— Proszę cię, nie myśl nawet o tem, Salvatorjello — rzekła matka, grożąc mu palcem — wiesz przecie, że twój ojciec nie chce, żebyś został artystą; on woli, żebyś kierował się na takiego, jak on miernika.

— To zupełnie tak samo, jak gdyby mój ojciec chciał, żeby mi zamiast ciemnych, płowe włosy porosły na głowie — odpowiedział z uśmiechem Salvatorjello.

— W żadnym razie, mój synu, nie będzie z ciebie dobry artysta: lubisz próżnować i włóczyć się z kąta w kąt, a tu trzeba przysiedzieć fałdów.

— Jestem leniwy, jak mama powiada, bo nie lubię tych wszystkich dowodzeń o kątach, trójkątach, prostokątach i tak dalej, a jeżeli nie usiedzę na miejscu, to dlatego, że wabią mnie piękne widoki, które potem węglem rysuję na murze. I gdybyś, mammo, wiedziała, jaka to uciecha przypomnieć sobie i odrysować piękny widok; oto ta izdebka

tak szkaradna dwa dni temu, dzisiaj prześliczną się stała; niech mama sama przyzna.

— Rzeczywiście — odpowiedziała donna Giulja — ale to tak prześliczną, że ja i twoje siostry będziemy musiały co najmniej dwa dni stracić na wyskrobanie ścian.

— Jakto? chcesz wyskrobać ściany, zmasać całą moją robotę? O! widzę teraz dobrze, matko, że nie masz żadnego zamiłowania do sztuki.

— Ale mam zamiłowanie do wypełniania mojego obowiązku. Więc i ty myśl o wypełnianiu swojego, a najlepszym tego dowodem będzie posłuszeństwo dla rozkazów ojca. A w szczególności proszę cię, żebyś nie zapomniał o dzisiejszej lekcji katechizmu, którą nasi ojcowie w klasztorze ci udzielają. Oto moja książka do nabożeństwa, idź do kościoła i poczekaj tam na mnie.

Salvatorjello wziął książkę i wyszedł z pokoju. Ale na nieszczęście ubierając się na mszę, położył książkę obok pudełka z węglami, zamyslił się o czem innem, i tak jakoś nieszczęśliwie wypadło, że wchodząc do kościoła klasztoru *Borgo Renella*, miał pod pachą zamiast książki owo utrapione pudełko.

Kościół był pusty; księża w tej chwili odprawiali w bocznych kapliczkach pokutne nabożeństwo; lud czekał na odgłos dwońów, żeby się zgromadzić na modlitwę, więc Salvatorjello znajdował się sam w świątyni Pańskiej.

Wśród głębokiego milczenia, które w wyniosłych i sklepionych gmachach staje się daleko uroczytszem, Salvatorjello pod wrażeniem cud-

nych dzieł sztuki, zdobiących ołtarze Pańskie i ściany kościoła, uczył się jakby natchnionym. Historia święta, którą zakonnicy wykładali mu co rano, uprzytomniła się w jego umyśle, a rozegrzana jego wyobraźnia, zdawała mu się przedstawiać przed oczy wszystkie owe starożytne postacie: Abrahama, poświęcającego syna, Agarę, zamierającą wraz z synem na pustyni, Jakóba, błogosławiącego rodzinie... I pudełko z węglami pomimo-wolnie stanęło otworem, i ręka chłopca pogrzyżyła się w niem... Za chwilę trzymał już w palcach kawałek węgla i nie myśląc ani o świętości miejsca, w którym się znajdował, ani o powodzie, co go tam sprowadzał, na ścianach, gdzie mur biały pozostał pomiędzy złotymi i niebieskimi malowidłami, począł szkicować wszystkie te starożytne postacie, które się nakreśliły w jego umyśle.

Od szkiców przeszedł wkrótce do cieniowania, i wówczas prawdziwy ogień go ogarnął; rozpłomieniony, czerwony jak wiśnia, machał węglem na prawo i na lewo, pracując z takim zapalem, jak później, kiedy przyszło mu tworzyć *Saula*, lub *Agar na pustyni*. Powoli kościół napelniał się wiernymi, schodzącymi się na nabożeństwo, i ów gwar, który zazwyczaj w tłumie panuje, stuk podkutych żelazem trzewików, uderzających o taffe marmurowe, hałas poruszanych krzesel i ławek, szepty witających się, nie zdołały oderwać chłopca od jego roboty. On widział przed sobą tylko swój przedmiot, a słuchał jedynie natchnień genjuszu, wskazującego mu sposoby ożywiania rysowanych przez niego postaci, kiedy nagle... drzwi

zakrystji otworzyły się i gwardjan, wychodząc z chóru na czele innych zakonników, począł procesjonalnie obchodzić świątynię Pańską.

Na widok dziecka, stojącego przy kolumnie, i świętokradczą ręką czerniącego węglem ściany, zakonnicy zatrzymali się i osłupieli. Wkrótce gwardjan wydał jakieś milczące polecenie, i zanim Salvatorjello potrafił opatrzyć się i spostrzedz, że został otoczony, czterech mnichów porwało go i zanosło do refektarza, gdzie dyscyplina klasztorna z wielką skrzętnością i gorliwością wypełniła swoją powinność na barkach przedwczesnego artysty. Krzyczał on żałośliwie, ale ojcowie, uważając za świętokradztwo czyn, który w istocie rzeczy był tylko dziecięcej nierozwagi dowodem, nie zważając na jego krzyki, wymierzili mu ściśle liczbę rązów przepisaną.

Odprowadzono Salvatorjella do domu, a większe cierpienie sprawiał mu wstyd i gniew za hańbę, jaka go spotkała, aniżeli ból rzeczywisty z odebranej kary cielesnej. Poprzysiągł zemstę. I pomimo prośb i napomnień matki, czekał już tylko zupełnego wyzdrowienia, żeby doprowadzić do skutku złośliwe swoje zamiary.

Z drugiej strony zakonnicy nie mogli zapomnieć młodemu śmialkowi bezczęści, wyrządzonej świątyni Pańskiej, i stało się, że aż rodzice Salvatorjella nie mogąc go więcej posyłać do klasztoru, postanowili oddać na naukę do seminarjum w Neapolu.

Pewnego więc pięknego poranku wrześnie-wego, ojciec z synem, pożegnawszy się z resztą rodziny, udali się w drogę do Neapolu.

Odległość, dzieląca mieszkanie ich od stolicy, nie była wielką, i po dwóch godzinach pochodu podróżnicy nasi weszli do miasta. I nagle uroczysty spokój wiejski zastąpiła wrzawa ludności. Dla nieprzywykłych do tego hałasu uszu młodego chłopca wydawało się to trochę jakby huk wybuchu Wezuwjusza. Wzroku jego już nie uderzają skaliste wąwozy, ani strome wzgórza, sosnami obrośnięte; widzi przed sobą cudne gmachy, pałace, kolumny, ogrody, zawieszzone na arkadach, ołtarze, kaplice, dzwonnice, aż naraz zaszedłszy na ulicę Toledo, cofa się, olśniony cudnym rzędem marmurowych pałaców, stanowiących tam ciąg nieprzerwany.

Przebywszy tę ulicę, ojciec i syn skierowali się ku klasztorowi Somesca. I wkrótce gmach ów surowej powierzchowności rozwinął się przed nimi w całej powadze; ścisnęło się serce młodzieniaszka i odwrócił się do ojca z oczami łez pełnemi.

— Jeszcze więzienie! — rzekł.

— Lepsi od ciebie, mój synu, zamieszkują tu i nie nadają takiej nazwy temu świętemu miejscu — odezwał się łagodnie Antonio.

— Ale nie pozostawisz mnie tu na zawsze mój ojczy, nieprawdaż? — zawołał Salvatorjello, uchwyciwszy starca za rękę.

— Owszem, wołałbym żebyś tu całe życie przepędził.

— Niech się stanie wola twoja, mój ojczy — rzekł Salvatorjello — a jednak — dodał, wskazując palcem na czoło — tam było coś!

— W takim razie, mój synu, łatwo zrozumiesz

powody, jakie nas skłaniają do przeznaczenia ci klasztoru na pomieszkanie; nie jesteśmy bogaci, a życie zakonne najlepiej zdaje się przypadać do twojego usposobienia.

— Wołałbym jednak inny rodzaj życia.

— Dajmy już pokój tym marzeniom — rzekł Antonjo, który nędzy od sztuki oddzielić nie umiał, mając ciągle obecny w pamięci przykład swojego szwagra — ale słuchaj Salvatorjello, pracuj, bądź pobożny, uważny, posłuszny, staraj się przyzwyczaić do pokoju i świętości życia klasztornego, a będziesz szczęśliwym.

To rzekłszy, Antonjo zadzwonił do drzwi; brat furtjan ukazał się w progu, a signor Rosa widząc, że syn pozostaje nieruchomy i nie myśli wcale iść za zakonnikiem, dotknął z lekka jego ramienia:

— O czem myślisz? — zapytał.

— O wielkiej stracie, jaką poniosłem, przychodząc tutaj.

— Czyś zgubił pieniądze? — zapytał zaniepokojony Antonjo — może ci się gdzie zapodziała ta sztuka srebrnej monety, którą cię na odchodnem obdarowała matka?

— Straciłem stokroć więcej, mój ojczy.

— I cóż takiego?

— Niepodobna mi powiedzieć ci tego — od-rzekł poważnie mały Salvator. — Tylko Stella lub Pernetta mogą wynagrodzić mi tę stratę... Mój Boże! Jakiż roztrzępaniec ze mnie.

— Czy signor Rosa wchodzi? — zapytał się brat furtjan.

— Nie; muszę śpiesznie wracać do domu,

a przytem wczoraj już widziałem się z gwardjanem, który przyrzekł mi przyjąć pod opiekę mojego syna. No Salvatorjello, tylko odważnie, uściśnij mnie raz jeszcze i idź za bratem.

— Przynajmniej pobłogosław mi, ojcze — rzekł Salvator, rozpluwając się we łzach i rzucając się w objęcia ojca.

Antonjo pobłogosławił synowi, ucałował go w czoło, poczem zleciwszy go opiece brata furtjana, oddalił się z klasztoru.

Serce rozdierało się Salvatorowi, kiedy usłyszał zasuwaające się zwolna ciężkie żelazne rygle.

— I gdybym jeszcze — mówił do siebie, idąc za bratem furtjanem — nie był zapomniał tych utrapionych węgli, ileżbym tu miejsca przepysznego znalazł do rysunków!

A to mówiąc, spoglądał z żalnością na białe i nagie ściany korytarzy klasztornych.

Nad wieczorem brat furtjan zjawił się u Salvatora, donosząc mu, że ktoś pragnie z nim mówić u kraty klasztornej.

Chłopak pobiegł natychmiast na wskazane miejsce, i zastał za kratą obie siostry.

— Zgadnij też, com ci przyniosła? — rzekła, uśmiechając się Pernetta.

— Pudełko moje z węglami!... — zawołał, klaszcząc w ręce, Salvatorjello.

— Jak raz zgadłeś — odpowiedziała dziewczyna, podając mu pudełko przez kratę.

— Jesteś wzorem wszystkich sióstr, Pernetto! — zawołał Salvatorjello, skacząc z radości.

— Pierwsza Stella spostrzegła twoją zgubę — rzekła Pernetta.

— A ona zato wpadła pierwsza na myśl przyniesienia pudełka — odezwała się Stella.

— I przyszliśmy, jak widzisz, razem odwiedzić cię — dodała Pernetta.

— Pocziwe z was dziewczęta! — mówił Salvatorjello, całując kolejno to pudełko z węglami, to ręce sióstr; teraz mam przynajmniej tę pewność, że już się nie znudzę u ojców. Bo wystaw sobie, Pernetto, tutaj tyle białych ścian, aż ślinka do ust idzie.

— Pamiętaj jednak, braciszku, o karze, jakąś otrzymał w klasztorze Borgo Renella — rzekła Pernetta, uśmiechając się.

— Może też mi tutaj lepiej się powiedzie: nie wszyscy przecież zakonnicy są nieprzyjaciółmi sztuki. A przytem nie będę już rysował w kościele, ale na korytarzach.

— Ale księża nie zechcą także, żeby mury korytarzy klasztornych były zamazane węglem.

— Jak mało w tobie poczucia artystycznego, Pernetto? *Zamazane!* Co ty rozumiesz przez ten wyraz *zamazane!* Ależ to najpyszniejsze rysunki, a nie mazaniny.

— Niech i tak będzie, braciszku — rzekła Stella — przybyliśmy tutaj, ażeby cię odwiedzić, nie ażeby się kłócić z tobą. Powtarzam ci jednak raz jeszcze, że jeżeli za bardzo zechcesz przyozdabiać mury klasztorne, to ojcowie gotowi cię stąd wypędzić.

— To właśnie najszcześniejsza rzecz, jakaby mi się mogła wydarzyć.

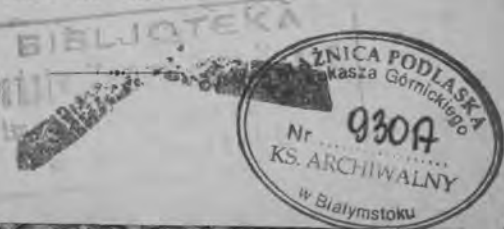
- A cóżbyś z sobą zrobił, nieboraku?
- Wszakże Francazini ma wkrótce zostać twoim mężem?
- Mam przynajmniej nadzieję, że tak się stanie.
- W takim razie poprosisz męża, żeby mnie przyjął za ucznia.
- A cóż, myślisz, rodzice nasi na to powiedzą?
- Matka tak mnie kocha, że nie będzie się gniewać o to, a ojciec przecież mi kiedyś przebaczy, zwłaszcza, jeżeli ty przyjmiesz mnie na mieszkaniu.
- Czy wątpisz o tem, Salvatorjello?
- No, to wychodź prędko za mąż, a ja będę się starał, żeby mnie stąd jak najspieszniej wypędzili.
- Jak widzę, możemy się stąd oddalić — rzekła Stella — bo zostawiamy go w wybornem usposobieniu.
- O!... ręczę ci za to... mam przepyszny przedmiot do rysunku w głowie.
- Sądzę, że ściany tutejsze nie będą już jutro tak białe jak dzisiaj — rzekła, uśmiechając się, Pernetta.
- I ja spodziewam się tego, siostrzyczko.
- Do widzenia więc.
- Do widzenia, Stello... a powtarzam ci, wychodź prędko za mąż.
- Ale ty pozostaniesz tu, dopóki za mąż nie wyjdę?
- Pozostanę, ale nie daj mi długo czekać.
- W tej chwili odezwało się dzwonicie na

nieszpory, i obie dziewczęta odeszły. Salvatorjello dotrzymał słowa. Zarysował on węglem od góry do dołu wszystkie ściany klasztorne, nie oszczędzając ani korytarza, który prowadził do gwardjana, ani nawet wejścia do kościoła, aż wreszcie ojcowie stracili cierpliwość i wypędzili go ze zgromadzenia.

A i Stella dotrzymała słowa, bo wyszła wkrótce za malarza Francazini. U nich więc Salvatorjello zamieszkał, pobierając nauki od szwagra.

Salvator Rosa wyrósł wkrótce na jednego z najslawniejszych i najplodniejszych malarzów owej epoki; wymalował on sto dziewięćdziesiąt obrazów i umarł w r. 1673 w pięćdziesiątym ósmym roku życia, pozostawivszy po sobie więcej arcydzieł aniżeli lat życia.

Niestety! wiele dzieci, mających nieprzecięzione lenistwo do nauki, objawia powołanie do malarstwa, budownictwa, muzyki lub piśmiennictwa. Ale każdemu wiadomo dzisiaj, że największy nawet genjusz potrzebuje uczyć się i kształcić. Tak też i Salvator Rosa poczuwszy później, ile namiętność jego do rysunku nabawiła go straty czasu w dzieciństwie, zrozumiał, że do doskonałości w sztuce dojść tylko można przez głębokie studjowanie arcywzorów i usilną pracę nad sobą samym. Najznakomitsi malarze i poeci przykładali się pilnie do nauk.



1761

A

